



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiktor Kobyliński

Wspomnienie

Jak daleko sięga pamięć dziecka? Różne na ten temat słyszałem opinie. Mało kto przyzna, że można zapamiętać coś z wieku lat czterech. Moja pamięć w sposób ciągły sięga wydarzeń, gdy miałem trzy i pół roku. Kilka śladowych wspomnień mam jeszcze dawniejszych.

Urodziłem się w lutym 1941 roku. Najdawniejsze wspomnienia pochodzą sprzed Powstania. Był upał. Most Poniatowskiego z wielkimi, kamiennymi ławami i ktoś pokazujący mi płonący statek. Długo potem nie doświadczyłem takiego widoku. Zapamiętałem z tamtego okresu, że statek to coś małego, nie większego niż rozpiętość rąk dorosłej osoby.

W końcu lipca 1944 roku uciekaliśmy do Warszawy z Józefowa, gdzie z rodziną spędzaliśmy wakacje. Zapamiętałem wjazd pociągu do ciemnego tunelu i palące się żarówki przelatujące za oknem wagonu. Ucieczka z Józefowa do Śródmieścia przed nadchodzącym frontem była decyzją mojej Mamy – Hanny. Nie chciała powtórnie przeżyć działań wojennych w otwartym terenie na linii ognia. We wrześniu 1939 roku z moim 2 i pół letnim bratem Jackiem spędziła kilkanaście dni w stojącym w polu ostrzału domu przy ulicy Kutnowskiej 10 na Grochowie. Miał on cienkie ściany i dach, które niewielka bomba mogłaby przebić własnym ciężarem. Przeżyła z płaczącym dzieckiem w piwnicy wiele nalotów lotniczych, nie licząc ostrzału artylerii i ognia karabinowego. Niemcy byli kilkaset metrów od strony Goławka a Polacy bronili wtedy Alei Waszyngtona. Dom, nieco uszkodzony odłamkami, ocalał. Mama mieszka w nim do dziś.

Naloty spędzano u sąsiadów w piwnicach. Niektórzy modlili się głośno, inni śpiewali, dzieci płakały. Nie mogąc tego dłużej znieść 17 września Mama wzięła Jacka na ręce i udała się do swoich – do Warszawy. Koło domu spotkała niemieckiego oficera, który radośnie powiadomił ją, że Rosjanie włączyli się do wojny po stronie Niemiec. Oczywiście nie uwierzyła mu i pomaszerowała w kierunku polskich okopów. Polacy przepuścili Mamę, kiedy krzyknęła do broniących ich żołnierzy, że jest żoną polskiego oficera.

Przez Wisłę przeszła po zdemolowanym nalotami i mocno podziurawionym moście Kierbedzia. Był nadal pod ostrzałem. Aby Jacek nie został trafiony w plecy Mama niosła go przed sobą. Wreszcie warszawski brzeg. Plac Zamkowy. Cisza i błogi spokój. Ani śladu wojny. Jak przed wojną podjeżdża dorożka. Mama za 2 złote jedzie komfortowo z Jackiem na Złotą, do kuzynki – „babci” Mieci. Powitano ją tam jak przybysza z zaświatów. Do kapitulacji i przez okres niemieckiej okupacji mocny dom na Złotej nie doznał uszczerbku. Nic dziwnego, że w końcu lipca 1944 roku nie było wątpliwości – tam właśnie uciekaliśmy, aby schronić się przed frontem.

Powstanie obserwowałem jako niewiele rozumiejące dziecko. Jako zabawkę miałem drewniany pistolet maszynowy. Pamiętam, że miał kwadratową lufę i suwadło, które przesuwane do przodu i do

tyłu uderzało o coś imitując strzały. Mieszkanie było jeszcze całe. Wszedłem sam na balkon i z mojego pistoletu maszynowego „grzałem” w górę do niemieckich samolotów. Kiedy ciocia Krysia to zobaczyła z wielkim krzykiem ściągnęła mnie z balkonu i chyba zabrała mi na zawsze tę fajną zabawkę.

Pamiętam późniejszy długi pobyt w piwnicy. Któregoś dnia zgasło światło. Żarówka oprawiona w blaszany, emaliowany talerz przygasła. Po krótkim żarzeniu się i kilku wahnieniach zgasła na zawsze. Nie było to wielkim problemem. Zapalono jaskrawe karbidówki. W piwnicy zrobiło się bardzo jasno, aż oczy bolały.

Uczucia niedostatku ani głodu wówczas nie doznałem. Łaziłem czasem do babci Mieci z jęczącą prośbą: „Babciu – chleba ze smalcem i z solą!”. Zawsze coś dostawałem. Bardzo lubiłem, gdy dawała mi kostkę cukru. Było to znakomite. Wiele lat później dowiedziałem się, że babcia kapala nam na każdą kostkę po kropelce spirytusu. Skuteczne lekarstwo!

Czy się bałem? Oczywiście, że nie. Mój siedmioletni brat nabawił się nerwicy żołądka. Ja widziałem same ciekawe rzeczy. Kiedyś ojciec wrócił do piwnicy cały biały. Mama go skrzyczała, żeby nie siadał, bo pobrudzi łóżko – podstawowy sprzęt do siedzenia. Później mi powiedziała, że miała potem wyrzuty sumienia, bo właśnie koło taty zawałił się dom i ojciec cudem przeżył.

Z piwnicy wychodziliśmy czasem na podwórze. Było kwadratowe. Od frontu kupa gruzu, ale oficyny jeszcze stały. Na podwórzu była wanna i leżała wielka bomba. Nie pozwalali nam jednak do nich podchodzić.

W piękny słoneczny dzień ojciec wyprowadził mnie i brata na ulicę. Pamiętam upalne słońce i jego słowa: „możecie tu sobie pochodzić, ale nie dalej, jak do tej barykady” – i pokazał ręką w kierunku zgiętej latarni. Długo jeszcze myślałem potem, że często powtarzany wyraz „barykada” oznacza sterzącą do góry, trochę pochyloną i zgiętą u wierzchołka rurę. Kiedyś też wyszliśmy z piwnicy, ale nie sami. Było bardzo dużo ludzi. Wszyscy oglądali lecące z góry spadochrony.

W piwnicy życie było ciekawe. Któregoś dnia niesiono na noszach wiele osób zabitych albo rannych. Nam nie pozwolono wychodzić. Przyglądałem się przez uchylone drzwi. Mieszkała też z nami mała dziewczynka. Zdaje się, że była jednym z uratowanych dzieci z Zamojszczyzny. Dziwiłem się, kiedy nie pozwalano mi patrzeć jak susiała.

Któregoś dnia wszyscy mężczyźni ostro pracowali. Nazywali to „stemplowaniem piwnicy”. Stemple były to kwadratowe słupy, które ustawiono, aby podeprzeć stropy. To też było interesujące.

Ciekawe były też „krowy”. Później się dowiedziałem, że były to salwy z wielolufowych moździerzy. Zapamiętałem tylko, że siadaliśmy przytuleni do siebie. Następowala na zmianę seria pięciu czy sześciu przeraźliwych wyc, a po pewnym czasie tyle samo głośnych wybuchów. Bardzo interesujące!

W piwnicy przebywaliśmy do końca Powstania. W październiku wyszliśmy pieszo z miasta. Muszę stwierdzić, że chociaż nie byłem powstańcem, to na pewno mogę się uznać za „wypędzonego”. Wszystkich z Warszawy wtedy wypędzono. Szliśmy chyba koło domu przy placu Starynkiewicza, gdzie obecnie mieści się redakcja „Rzeczypospolitej”. Za miastem zostałem wsadzony na furmankę. Nogi przygnieciono mi jakimiś pakunkami, ale bałem się poskarżyć, żeby nie kazano mi znów iść pieszo. Wjechaliśmy na zielone pola pełne cebuli. Pamiętam jak na tym wozie jadłem obraną cebulę tak jak zjada się jabłko i bardzo mi ona smakowała.

Noc spędziliśmy w Podkowie Leśnej. Był to mały domek. Spaliśmy na podłodze na piętrecie. Powiedziano mi, że mam być cicho, bo na dole są Niemcy. Do dziś nie wiem, czy tak było naprawdę czy tylko straszono Niemcami dzieci.

Następnego dnia doszliśmy do Milanówka, gdzie mieszkali nasi kuzyni Miśkiewicze. Nie musieliśmy już dalej wędrować. Ojca Niemcy zamknęli w obozie w Pruszkowie. W Milanówku spaliśmy w kilkoro obok siebie w wielkim drewnianym łóżku. Do jedzenia dostawałem wtedy coś, czego nie potrafiłem przełknąć. Była to kromka chleba z masłem. Masło na chlebie było tak bardzo śliskie, że nie mogłem tego wziąć do ust. Nie wierzyłem, że to jest do jedzenia. Zdecydowałem się ugryźć dopiero wtedy, gdy Mama położyła na masło coś szorstkiego. Może był to plasterek kielbasy. Później odważyłem się zjeść chleb z masłem, ale dopiero gdy przekręciłem kromkę spodem do góry.

Później wojna toczyła się daleko od nas. Mieszkaliśmy blisko torów kolejowych. Lubiałem patrzeć na pociągi. Kilka razy pokazywano mi wagony, w których przed parowozem przyczepiona była platforma towarowa. Siedzieli na niej ludzie. Mówiono mi wtedy, że to Niemcy wożą tak polskich więźniów, żeby zabezpieczyć pociągi przed wysadzeniem w powietrze przez partyzantów. Ciekawe, że od czasu wojny nigdy nie spotkałem się z jakimkolwiek wspomnieniem opisującym podobne przypadki.

W Milanówku przedsiębiorcza babcia Miecia postawiła koło stacji końcowej EKD drewnianą budkę, w której razem z Mamą i ciocią Krysią handlowały jakimiś bułeczkami. Bardzo lubiłem tam bywać. 26 stycznia 1945 roku babcia za dwa litry spirytusu namówiła wojskowego kierowcę, żeby zabrał nas na Grochów. Mama kilka dni wcześniej przeszła przez Wisłę i stwierdziła, że dom przy Kutnowskiej stoi cały. Do Wiatracznej doszliśmy pieszo. Pamiętam radość mojego brata, gdy nareszcie znaleźliśmy się w domu. Mnie jakoś z niczym się on nie kjarzył...